

Sprawozdania i komunikaty. Kronika wydarzeń

Отчеты и сообщения. Хроника событий

Jadwiga Mizińska

Święty niepokój. Wspomnienia z uroczystości wręczenia Profesorowi Stefanowi Symotiukowi Księgi Pamiątkowej *Homo inquietus* (Piotrawin nad Wisłą, 21 III 2009)

*Святое беспокойство. Воспоминания о торжественном вручении Профессору
Стефану Сьмотюку Памятной Книги Homo inquietus
(Пётравин на Висле, 21 III 2009)*

„Istnieć – to być pamiętanym”, głosi H. Bergson w *Materii i pamięci*. Jednakże istnieją dwa rodzaje pamięci, jaką po sobie zostawiamy, w jakiej się u innych zachowujemy: zła i dobra. Zła pamięć, niedobra sława jest nie do zmycia, pozostałe po wszelkiego rodzaju Herostratesach, którzy zostawiają po sobie zgliszcza, ruiny, blizny na ziemi, na ludzkich ciałach i duszach. Jest ona niezmywalna, bo jakoś „wrośnięta w materię”, odcisnięta na niej w postaci wieczystych odkształceń. Aby zasłużyć na czyjąś dobrą pamięć, nie wystarczy być neutralnym, „grzecznym”, nieczyniącym niczemu i nikomu krzywdy. Należy się ponadto starać czynnie pamiętać o innych. W szczególności – kultywować pamięć o ludziach, którzy wywarli na nasze życie istotny i dobroczynny wpływ. O naszych Rodzicach, Przyjaciółach, Nauczycielach, Profesorach, Mistrzach.

Własnej odruchowej pamięci, która i tak jest selektywna i wybiórcza, pomóc można w ten sposób, że się ją uwalnia od zalegających gdzieś na spodzie wspomnień bolesnych, traumatycznych, usiłując je rozpuścić, rozwiązać poprzez długotrwały namysł, poprzez zdystansowaną refleksję nad przeszłością. Wspominając przykre zdarzenia, poszukując również własnego udziału w tym, co

niegdyś przeżywało się jako swoją krzywdę – łatwiej wówczas o zrozumienie i wybaczenie win rzeczywistym i urojonym krzywdzicielom. Uwolnioną i poszerzoną w ten sposób przestrzeń psychiczną można wypełnić celebrowaniem dobrej pamięci o tych osobach, które przyczyniły się do naszego umysłowego i duchowego rozwoju. Wielu z nas, zwłaszcza w młodości ma tendencję do odrzucania, wyzbywania się balastu przeszłości, zwłaszcza gdy tkwią w niej jakieś elementy kolczaste, raniące lub zatruwające. Dla własnego dobra należy się starać pozbyć owych duchowych toksyn, a lekarstwem na to jest wielokrotne powracanie myślą do zastygłych „psychicznych kolców”, oglądanie ich pod różnym kątem, z wielu stron, pomnąc, iż nie znamy i nigdy nie jesteśmy w stanie w pełni poznać motywacji tych, którzy nam zadawali ból czasem istotnie z rozmysłem, a częściej nieświadomie, mimo woli. Bo skąd pewność, że i ja sam nie jestem winien podobnej nieoględności? Dlatego bardziej, niż sławetne „rozliczenia” tych, których obwiniamy za wszystko złe w naszym życiu, lepiej „zliczać” dobra, jakie otrzymaliśmy od innych, niekoniecznie za nasze zasługi. Albowiem, chcąc nie chcąc, każdy człowiek prowadzi własną „politykę pamięci”, od jakości której zależy jego duchowy dobrostan.

Poeta ostrzegał: „ale nie burzcie przeszłości ołtarzy, choć sami chcecie doskonalsze wnieść”. Ja poprzestałabym na namawianiu do budowania osobistych „kapliczek pamięci”, w których umieszczamy Mistrzów. Osoby, które wcielając w swoim życiu i postępowaniu rzadkie i cenne wartości, fascynują nas, zachwycają i pociągają. Wpisują się w nasze biografie w roli drogowskazów czy choćby kierunkowskazów.

Studiując, a potem pracując w Uniwersytecie, możemy go traktować jako zwyczajną instytucję: jedną z wielu szkół czy zakładów pracy. Miejsce zarobku, zdobywania awansów, robienia kariery. Ale możemy też myśleć o nim jako o Alma Mater – matce żywicielce, z którą łączą nas silne, żywotne i życiodajne, wręcz intymne więzy. Związek z którą przeżywamy raz jako źródło szczęścia z przynależności, innym zaś razem jako przyczynę niezadowolenia, żalu, rozgoryczenia. Bez względu na to, jakie uczucie chwilowo przeważa, istotne jest to, iż jest intensywne, posiada wysoką temperaturę. Podwyższa puls egzystencji, przydaje jej sensu, a czasem nawet – blasku.

Dzisiejsza tendencja do traktowania „szkół wyższych” jako zwyczajnego „zakładu pracy”, „korporacji”, w której liczy się wyłącznie efektywność (przeliczana na wszelkiego rodzaju „wskaźniki”, stopnie i tytuły), niszczy sam rdzeń Uniwersytetu. Jego istota jest bowiem „nieprzeliczalna”, jako że ma charakter duchowy, niewymierny i zgoła nieuchwytny dla wszelkiego rodzaju „rachmistrzów”, którzy zamiast Kamiennych Tablic odprawiają kult Tabliczki Mnożenia. Duch Uniwersytetu zawiera się w imponderabiliach, w tym, co wprawdzie gołym okiem niewidzialne, ale bez czego zaczynamy czuć się nieswojo, obco. A w końcu tracić oddech i dusić, jak w całkowicie sterylnej, higienicznej ale martwej, bo bezdusznej przestrzeni.

Duch Uniwersytetu jest tej samej natury co *genius loci*. Aby raczył się pojawić, trzeba, by całe pokolenia miały się na tych samych korytarzach, czytały w bibliotece te same książki, natrafiając w nich na poczynione charakterystycznym pismem swoich nauczycieli podkreślenia, umawiały się na randki w tym samym parku czy kawiarence. Ważny też jest jakiś punkt centralny, którym niekoniecznie musi być najwyższy w mieście budynek Rektoratu – może nim być „Maryśka”, takim familiarnym i czułym imieniem nazwany pomnik Marii Curie-Skłodowskiej, patronki UMCS w Lublinie. Upodobały go sobie nie tylko zakochane pary, poprawkowicze denerwujący się przed powtórny egzaminem, uszczęśliwieni absolwenci po obronie pracy magisterskiej robiący sobie pamiątkowe zdjęcia, ale i ptaki: wrony, kawki, gołębie, przysiadające najczęściej na głowie laureatki Nobla. I, w efekcie tych gromadzących się gdzieś w podświadomości wzruszeń, aby na usłyszane w innym mieście czy nawet na innym kontynencie gdzieś za plecami słowa „Lublin”, „UMCS” odwrócić się z przyspieszonym biciem serca i w tym, kto je wypowiedział, z miejsca poczuć pobratymca.

Największy wkład w mimowolne kształtowanie takiego Ducha Uniwersytetu mają Mistrzowie. Prawdziwy Mistrz nie ubiega się o ten zaszczytny tytuł, nie wie, że jest nim obdarzony, nie przyszłoby mu do głowy o niego zabiegać. Są bowiem rzeczy, które aby naprawdę istnieć i oddziaływać, muszą pozostać ciche; siebie samych nieświadome. Należy do nich dobroć, świętość i – właśnie mistrzostwo. Podobnie jak człowiek dobry do granic świętości, również i Mistrz sam nie zdaje sobie sprawy, że promieniuje blaskiem, którego ślad osiada nie tylko w umysłach, ale i w duszach osób, które mają szczęście się z nim stykać. On po prostu *jest sobą*, kimś niekoniecznie doskonałym, pozbawionym wad, ale wyjątkowym i niezapomnianym. Nieobnoszącym się z tym, co w nim wyjątkowe, bo mieści się ono w głębi jego osobowości. Jest nim po prostu we wszystkim, co czyni.

Jednym z piękniejszych obyczajów uniwersyteckich, Bogu dzięki kultywowanych nawet w naszych wyrachowanych czasach, jest pisanie i publikowanie ksiąg pamiątkowych dedykowanych Mistrzom, w celu wyrażeniu im przez współpracowników i uczniów wdzięczności. Ku upamiętnieniu nie tylko ich niezwykłych postaci, ale i faktu, że mieliśmy szczęście o nich się choćby otrzeć.

W Instytucie Filozofii UMCS (choć wówczas nosił jeszcze całkiem inną, podyktowaną okolicznościami nazwę Międzyuczelnianego Instytutu Filozofii) podwaliny tego obyczaju położył Profesor Zdzisław Cackowski, inicjując i wydając księgę pamiątkową dla Profesora Narcyza Łubnickiego. Jako uczniowie Profesora Cackowskiego, z kolei jemu dedykowaliśmy aż dwie takie księgi, potem weszło to wszystkim w krew. Zarówno z racji przejścia na emeryturę, jak też okrągłego (albo i nie całkiem okrągłego) jubileuszu, zawsze znalazł się ktoś, komu chciało się zająć takim długotrwałym i dość trudnym, jak każda zbiorowa publikacja, przedsięwzięciem. Nie zawsze czynili to bezpośredni współpracownicy czy uczniowie. I dobrze, bo inaczej wyglądałoby to na rodzaj daniny... Wydanie księ-

gi pamiątkowej połączone było z urządzaną potem specjalną uroczystością jej wręczenia adresatowi. Towarzyszyły temu przemówienia, dziękczynienia, występy artystyczne i wszelakie inne formy uświetnienia takowego wspólnego dla wszystkich święta. Mistrz dopiero wtedy mógł sobie uświadomić, że nim jest w oczach ofiarodawców. Trwająca przez dziesiątki lat taka „księgową” tradycja konstituowała i umacniała naszą wspólnotę, niezauważenie tworzyła pewne ceremoniały i rytuały. Budowała atmosferę, klimat i styl nie jedynie współpracy, ale i pewnego etosu, a nie wahałabym się powiedzieć, że i patosu Uniwersytetu. Ogołocony z tej zwiewnej, niewidzialnej dla tępych oczu otoczki, Uniwersytet degradowuje się do jednej z wielu „jednostek żeglugi”, na tle których urzędnicy ministerialni pragną „promować” kilka wybranych „okrętów flagowych”.

Obrona przed dehumanizacją i degradacją Uniwersytetów do jakiegoś „wyższego szkolnictwa” i szanse na zwycięstwo z bezduszną biurokracją kryją się w żywotności Ducha Uniwersytetu, zakłętego w jego tradycji.

Do tej tradycji nawiązywała też uroczystość wręczenia Profesorowi Stefanowi Symotiuukowi z UMCS książki zatytułowanej *Homo inquietus. Człowiek niespokojny. Prace ofiarowane Profesorowi Stefanowi Symotiuukowi przez przyjaciół*, pod redakcją Bogdana Banasiaka i Jadwigi Mizińskiej, opublikowanej przez Wydawnictwo UMCS w roku 2009.

Odbędzie się ona w przeddzień wiosny, 21 marca 2009 roku, w miejscu dość nietypowym – w Piotrawinie nad Wisłą, gdzie od kilku lat, także z pomysłu Profesora Symotiuuka – choć za pośrednictwem wielu szanujących, kochających i uwielbiających Go osób – spotykaliśmy się na Złotach Filozoficznych. Ich początki, jak to zwykle, były bardzo skromne i niepozorne. Odkąd z mężem, Andrzejem Sikorą, zamieszkaliśmy na wsi, na najstarszej uliczce rozległego Kamienia, o zapomnianej, lecz tkwiącej w pamięci najstarszych mieszkańców nazwie Kacze Doły, jeliśmy tam zapraszać naszych najmilszych przyjaciół. Należał do nich w pierwszym rzędzie Profesor Stefan, który jednakże postawił warunek, że prócz towarzyskich, będą się też odbywać filozoficzne rozmowy. Początkowo urządzaliśmy je w altanie albo w wyremontowanej na ten cel „Oborze Kultury”, co ograniczało nas jednak wyłącznie do „ciepłych” pór roku. Żeby nie robić zbyt długich przerw w tych spotkaniach, Jędrzek wynalazł nam położony w pobliżu, w pięknym miejscu nad Wisłą w Piotrawinie, ośrodek Zielonej Szkoły. Uniezależniało to nas od klimatu – w sensie geograficznym – bo klimat w sensie koleżeńskiego i przyjacielskiego nastroju bynajmniej nie wymagał korekty.

Każdy z tych Piotrawińskich Złotów Filozoficznych, jakich do tej pory odbyło się już sześć, miał z góry ustalony temat i obsadę prelegentką. Problematy-

ka zjazdów; począwszy od pytania „co to jest kultura”, poprzez „uczucia i emocje”, „styl” aż po „refleksje popowodziowe” (rzecz wszak działa się na zatopionym akurat Powiślu), wysuwany był i uzgadniany kolegiально, a w jego opracowaniu, na tych samych prawach, brali udział profesorowie, doktorzy, doktoranci, magiŝtry i studenci z wielu krajowych ośrodków akademickich: Lublina, Rzeszowa, Kielc, Białegostoku, Łodzi, Warszawy, Wrocławia, Poznań, Chelma, jak też z PAN-u. Niezbędna była oczywiście oprawa artystyczna, turystyczna i ... sportowa. Profesorowie odbywali mecze piłki nożnej z zaprzyjaźnioną młodzieżą z okolicy. Pojawiały się też nieco młodsze dzieci, moi podopieczni z podwórka na Kaczych Dołach. Najważniejszą postacią spośród „tutejszych” okazał się Krzysio Dzierzak, który po latach wprawy wziął na siebie ciężar obowiązków mojego Starszego Asystenta, choć sam siebie pokornie nazywa „Podnóżkiem”.

Jakkolwiek każdy ze Złotów Filozoficznych miał swoją specyfikę – i za każdym razem obsadę poszerzaną o przyjaciół naszych przyjaciół – to najbardziej wbijającym się w pamięć pozostaje ten „Uczuciowy”. Na zamówienie Profesora Stefana Symotiuŝka, który uprzednio sporządził też stosowny rozesłany wszystkim zaproszonym gościom katalog pytań, przygotowaliśmy się do dwudniowej dyskusji.

Po zakończeniu sobotnich obrad i krótkim spacerze ścieżką nad Wisłę, zapowiedziano uroczystą kolację z miejscowymi, przygotowanymi przez panią Jadwigę Rusek, przysmakami. W jej trakcie niczego nie podejrzewającego Profesora poproszono na korytarz, po czym, w towarzystwie trzech, trzymających w Ręku zapalone świece Gracji: Alicji Barcikowskiej, Teresy Klimowicz oraz Magdy Sarnińskiej-Góreckiej, na środek sali i przewiazanymi gustowną przepaską oczyma i posadzono na wyścielany kobiercem zaimprovizowany tron. Przywodząca całemu ceremoniałowi dr Ewa Grochowska – dla nas Jewka – udzieliła głosu Andrzejowi Sikorze. Jędręk, potajemnie przed Komite-



od lewej: Alicja Barcikowska,
prof. dr hab. Stefan Symotiuŝ,
Magdalena Sarnińska-Górecka

ŝot. Andrzej Sikora

tem Redakcyjnym złoŝonej do wydawnictwa książki, na własną rękę sporządził

jeden jedyny, wydrukowany na komputerze, opatrzony licznymi zdjęciami autorstwa dr Moniki Kardaczyńskiej zdjęciami Profesora Stefana, nie omieszkawszy zadbać o oprawienie jej w pólskórek i wybicie na nim złotymi, a jakże! literami tytułu *Homo Inquietus*. W przygotowanej, także przez Jędrka pustej, ale obszernej ramie do obrazu, robiliśmy sobie pozowane zdjęcia z bohaterem wieczoru, korzystając z licznych przygotowanych i przypadkowych rekwizytów.



od lewej: Andrzej Sikora, Alicja Barcikowska,
prof. dr hab. Stefan Symotiuik, Teresa Klimowicz

fot. Lukasz Marcińczak

Następnie wygłoszono laudację, przemówienia, wiersze i ody ku czci Adresata, po czym odbył się koncert i trwające prawie do białego rana rozmowy. Właściwie można by je uznać za praktyczne, warsztatowe ćwiczenia i wprawki, testujące wygłaszane wcześniej koncepcje teoretyczne.

Uznaliśmy bowiem zgodnie, iż *Homo Inquietus* – Człowiek Niepokojny, bohater humanistycznej utopii Profesora Symotiuika, będąc z natury pasjonatem, winien mieć maksymalnie rozbudowaną i pogłębioną sferę uczuciową. Profesor Stefan, po zapoznaniu się z moim tekstem o „sentymentalizmie lubelskim”, określił moją postawę jako *Homo Sentimentalis*.

Wielkim pozytywnym wzruszeniem towarzyszyły też wydarzenia powodujące panikę, oto okazało się, że w trakcie koncertu znikła Złota Księga, wprawdzie jej właściciel nie wydawał się zaniepokojony, ale wszyscy pozostali snuli domysły o zamachu. Wątek kryminalny wkrótce jednak szczęśliwie się wyjaśnił. Porwali ją na noc pierwsi czytelnicy, Ala z Marcinem, nie mogąc się doczekać profesjonalnej publikacji. Ta zresztą wkrótce się ukazała, zdumiewając licznych sympatyków Profesora, że na tak dostojnym dziele pozwolił umieścić swoją karykaturę. Mnie to nie dziwiło, bo znając Stefana od studenckiej młodości, domyśliłam się, że chodziło mu o wizerunek i prototyp *Homo Inquietus*.



od lewej: prof. dr hab. Jadwiga Mizińska, prof. dr hab. Stefan Symotiuk,
Teresa Klimowicz

fol. Andrzej Sikora

„Niespokojne jest serce moje, dopóki nie spocznie w Panu” – te przejmujące słowa św. Augustyna przyjął za swoją dewizę. Podczas gdy większość poszukuje „świętego spokoju”, Profesor Stefan Symotiuk namawia do podniecania świętego niepokoju. I znajduje liczne grono stronników, o czym świadczy zawartość złożonej z 39 tekstów Księgi.



od lewej: Marcin Miłachowski, prof. dr hab. Stefan Symotiuk,
prof. dr hab. Andrzej L. Zachariasz, prof. dr hab. Jadwiga Mizińska,
Jacek Zalewski

fol. Andrzej Sikora



od lewej: Marcin Miłachowski, Magdalena Sarnińska-Górecka, Alicja Barcikowska, Krzysztof Kaim, prof. dr hab. Stefan Symotiuk, Teresa Klimowicz, Jacek Zalewski, prof. dr hab. Jadwiga Mizińska, Dorota Staniszweska

fot. Andrzej Sikora

Wyrażamy wielkie podziękowanie Profesorowi Andrzejowi Zachariaszowi, który łąmy stworzonego i prowadzonego przez siebie Pisma „ΣΟΦΙΑ”, życzliwie udostępnia dla publikowania nie tylko naukowych, ale i sentymentalnych wspomnień z Piotrawińskich Złotów odbywających się w Zielonej – nie tylko z nazwy – Szkole. Wtajemniczeni i tak wiedzą, że obu wybitnych intelektualistów łączy niezmienna od dziesiątków lat – przyjaźń. Znak firmowy *sentymentalizmu lubelskiego*.